



KONKURS **PLASTYCZNY**

„**Deportacje** do obozu
zagłady w Bełżcu”

Zbiór **relacji**

Lwów

Relacja Rudolfa Redera:

„Było to już wieczorem. Na dużej łące skupiono nas razem w zamkniętym kole. Było nas sześć tysięcy. Rozkazano nam siedzieć i nie wolno było wstać, nie wolno było się poruszyć, ani wyciągnąć ręki czy nogi. Z jakiejś wieży puszczono na nas reflektor; jasno było jak w dzień, a otoczeni uzbrojonymi zbirami siedzieliśmy nieprawdopodobnie stłoczeni, wszyscy razem, młodzi i starzy, kobiety i dzieci w różnym wieku. Oddano parę celnych strzałów; ktoś wstał, może chciał, żeby go zastrzelono. Tak przesiedzieliśmy całą noc. Była śmiertelna cisza. Ani dzieci, ani kobiety nie płakały. O godzinie szóstej rano kazano nam zerwać się z wilgotnej trawy, ustawić się czwórkami i długi szereg skazańców pomaszerował na dworzec Kleparowski. Gęstym sznurem otoczyli nas gestapowcy i Ukraińcy. Ani jeden człowiek nie mógł uciec. Zagnali nas na dworzec do rampy. Tuż za rampą czekał już długi pociąg towarowy. Było tam pięćdziesiąt wagonów. Zaczęło się ładowanie do pociągu. Rozsunięto drzwi wagonów, po obu stronach stali gestapowcy, po dwóch z każdej, strony, w rękach pejcze i każdego wchodzącego bili po twarzy i po głowie. Bili wszyscy gestapowcy. Każdy z nas miał pręgi na twarzy, guzy na głowie. Kobiety szlochały, dzieci przytulone do matek płakały. Były między nami matki z, dziećmi przy piersi. Popędzani przez gestapowców, którzy bili bez miłosierdzia, tłoczył się jeden na drugiego. Wejście było wysokie, trzeba było, wspinać się, jeden strącał drugiego' zresztą śpieszyliśmy się' sami, chcieliśmy już mieć wszystko za sobą. Na dachu każdego; wagonu siedział gestapowiec z karabinem maszynowym. Gestapowcy bili i odliczali po stu do każdego wagonu. Wszystko to odbywało się tak szybko, że ładowanie kilku tysięcy ludzi nie trwało dłużej niż godzinę. Zaplombowali wreszcie wagony. Ściśnięci w jedną gromadę drżących ludzi, staliśmy ciasno, niemal jeden na drugim. Duszno, gorąco byliśmy bliscy oblędu. Ani kropli wody, ani kruszyny chleba. O ósmej rano ruszył pociąg. Wiedziałem, że na lokomotywie palacz i maszynista to są Niemcy. Pociąg jechał prędko, nam jednak zdawało się, że bardzo powoli. Trzy razy pociąg zatrzymał się: w Kulikowie, w Żółkwi, w Rawie Ruskiej. Prawdopodobnie przystanki potrzebne były dla regulowania ruchu kolejowego. Podczas przystanków gestapowcy schodzili i z dachów wagonów i nie dopuszczali nikogo do pociągu. Nie dopuszczali odrobiny wody, którą ludzie z litości chcieli podać przez małe zakratowane okienko mdlejącym z pragnienia. Jechaliśmy dalej, nikt nie odzywał się słowem. Byliśmy świadomi, że jedziemy na śmierć, że nie ma dla nas ratunku; apatyczni, bez jednego jęku. Wszyscy myśleliśmy o jednym: jak uciekać, ale nie było możliwości. Wagon, w którym jechaliśmy, był całkiem nowy, okienko tak wąskie, że nie mogłem się przez nie precisnąć. W innych wagonach zapewne można było wyważyć drzwi, bo co parę minut słyszeliśmy strzały w ślad za uciekającymi. Nikt do nikogo nic nie mówił, nikt nie pocieszał lamentujących kobiet, nikt nie przeszkadzał dzieciom szlochać. Wszyscy wiedzieliśmy: jedziemy na pewną i straszną śmierć. Około południa pociąg wjechał na stację Bełżec”.

Kołomyja

Relacja Mili Sandberg-Mesner

"10 października 1942 r., SS-mani z psami otoczyli getto i przystąpili do jego likwidacji. Moi rodzice, Lola, Jasia, pani Abosh i ja siedzieliśmy skuleni pod schodami. Serca waliły nam z przerażenia; byliśmy przekonani, że koniec jest blisko. Kiedy naszą kryjówkę rozbito siekierą, usłyszeliśmy słowa „Hier sind die Juden” – Tu są Żydzi. Ustawiono nas na podwórzu i wyprowadzono na plac, gdzie na pożółkłej trawie siedziały już tysiące przerażonych cieni. Po godzinach wyczekiwania popędzono nas ulicami Kołomyi w stronę stacji kolejowej. Czekwały tam na nas wagony bydlęce, w których mieliśmy pojechać do obozu śmierci w Bełżcu. Nie mieliśmy żadnych złudzeń, wiedzieliśmy, że jedziemy na śmierć. Wszyscy modliliśmy się o szybką, bezbolesną śmierć bez upokorzeń. Chyba najgorszą częścią tej podróży było zapadanie w drzemkę; śniły nam się wtedy inne miejsca i budziliśmy się z przerażeniem, uświadamiając sobie, że jedziemy na śmierć. Pamiętam, jak myślałam, że nie mam jeszcze dwunastu lat i nigdy nie zaznam szczęścia w ramionach mężczyzny. Byłam zrezygnowana. W przeciwieństwie do Jasi, która natychmiast po tym, kiedy zatrzasnęły się za nami drzwi wagonu, przedarła się przez tłum do zabitego deskami okna i usiłowała znaleźć jakiś luźniej wbity gwóźdź. Pomagał jej w tym Olek, nasz były kolega szkolny. Zabrało im to wiele godzin, ale w końcu udało im się obluzować gwóźdź i zrobić otwór dość duży, aby można się było przecisnąć. Kiedy zapadła noc, usiłowaliśmy uradzić, kto pierwszy wyskoczy z wagonu. Moi rodzice byli zdecydowani pojechać na śmierć. Byli zmęczeni uciekaniem i ukrywaniem się. Poza tym uważali, że bez nich mamy większą szansę przeżycia. Matka siedziała w kącie wagonu i łkała. „Skąd będę wiedziała, że moje dzieci się nie poranią wyskakując z jadącego pociągu?”. Ojciec pocieszał ją: „Kiedy nasze dzieci wyskoczą z wagonu, aniołowie rozłożą skrzydła, żeby złagodzić upadek”. Uściskałyśmy naszych rodziców po raz ostatni, jak w transie. Jasia poczekała, aż my z Lolą wyskoczymy. Dopiero kiedy już zniknęłyśmy w ciemnościach, sama przecisnęła się przez otwór. Wydawało mi się, że bardzo długo spadałam, zanim poczułam żwir pod stopami. Nic mi się nie stało; leżałam nieruchomo, patrząc jak widmo pociągu znika w ciemnościach. W tym pociągu byli moi rodzice, którzy jechali ku swojej śmierci...."

Czortków

Relacja ZONKI BERKOWICZ, po mężu POLLAK.

"W środę w nocy z 26 sierpnia 1942 r. Można usłyszeć pierwsze strzały. Tłuczenie szyb okiennych, rozbite drzwi, lament, płacz, krzyki. Na zewnątrz panuje uczucie okrutnej rzezi. Zaczęła się "akcja". Północ. Piękna i czysta sierpniowa noc. Blask księżyca rozjaśnia pokoje, tak ładnie dookoła, i w taką właśnie noc słyszać krzyki niewinnych dzieci, matek i mężczyzn, potrząsające powietrzem. Od strony "aryjskiej" oddziela nas tylko kilka ulic, tam każdy śpi swobodnie w swoim łóżku. Moja dziesięcioletnia siostra modli się do Boga, aby została zbawiona i pozostała przy życiu, a my obie, moja matka i ja, obserwując ją, czujemy, że krew zastyga nam w żyłach. O 2.30 rano "Szupowcy" (Policja bezpieczeństwa) z biczami w rękach, z bezlitosnymi twarzami morderców, wypędzają nas z naszego domu. Dołączamy do innych Żydów i zbieramy się na placu koło "Bristolu", gdzie kiedyś stały konne wozy. Oglądając sceny dzieci zamordowanych w rękach matek i wyrzuconych z balkonów, przypominam sobie straszne historie z czasów barbarzyńskich, ale tamte okrucieństwa wypadają blado w porównaniu z bestialstwem i z dzikością scen dziejącą się na moich oczach. Gdziekolwiek się rozejrzę, znajome twarze. Układamy się w formacje "szóstek" i w tym szyku idziemy na dziedziniec więzienny, gdzie zgromadziło się już kilkaset osób. Bramy więzienne są zamknięte i tu musimy zostać do następnego dnia. Nasze twarze odzwierciedlają cichą rozpacz. Ludzie pytają się wzajemnie o okoliczności ich aresztowania, a my zastanawiamy się, co będzie dalej... Powstają grupy, przyjaciele szukają siebie nawzajem, jest wielu rannych z krwawymi obrażeniami po pobiciu. Dzieci bez rodziców, rodziny w rozproszeniu. Zaczyna się świtać, a wraz z pojawieniem się słońca robi się coraz cieplej. Nie ma wody, a my gasimy pragnienie wodą deszczową z pobliskich beczek. Godziny mijają, a upał staje się nie do zniesienia. Jesteśmy jak zwierzęta przeznaczone do uboju i trzymane w klatce; ale dla tych zwierząt nie szczędzą ani wody, ani pożywienia. Każdy jest głodny i zapomina nawet o uczuciu wstydu, co sprawia, że własne cierpienie staje się publiczne. O 13:30 słyszymy otwarcie bramy i rozkazuje się nam wyjść. Wszyscy trzymają się narożników, żeby nie być pierwszym, ale po chwili poddajemy się i wszyscy wychodzimy. Rozkazują nam utworzyć 10 osobowe formacje. Jesteśmy eskortowani ze wszystkich stron przez szupowców, żandarmów i milicję żydowską. Ulica Mickiewicza jest pełna ludzi, jak w czasach wielkich parad. Dostarczamy widzom wspaniałego widowiska. Są szczęśliwcami i mają przywilej pozostać przy życiu. Jesteśmy pewni, że zostaniemy zabrani do lasu, gdzie możemy spodziewać się rozstrzelania, ale kierują nas na stację kolejową. Wydaje mi się, że nigdy nie chodziłem bez troski i bez obaw po tych ulicach. Uczucie pragnienia staje się coraz bardziej intensywne. Moje usta są suche, a język przykleja się do podniebienia. To straszne uczucie. Ludzie pozbywają się swoich rzeczy, by ulżyć sobie w drodze. Na stacji kolejowej zostaliśmy wepchnięci w grupach po 120 i więcej osób do wagonów towarowych. Drzwi wagonów zostały zamknięte.

Jest ciemno i ciasno, nie da się wyciągnąć rąk, nie ma absolutnie powietrza do oddychania. Wszyscy duszą się i dławią, a ty czujesz się tak, jakbyś miał przywiązaną linę na szyi i jeszcze ten straszny upał, jakby pod wagon został podłożony ogień. Około dziesięciu osób z grupy stoi przy drzwiach; każdy, kto ma spinki do włosów, paznokcie, zapięcia, zaczyna się wwierać między deskami, aby uzyskać trochę powietrza. Ludzie za nami są w znacznie gorszej sytuacji. Zdejmują ubrania i wyglądają, jakby mieli obsesję na punkcie bestialstwa i szaleństwa. Chrzążą, dyszą i pogrążają się w najwymowniejszej rozpacz. Nie mogę sobie przypomnieć, jak długo czekaliśmy i po ilu godzinach pociąg rusza. Kiedy po długim oczekiwaniu pociąg został wprowadzony w ruch, z ust tych, którzy jeszcze żyją, emanuje westchnienie ulgi. Nadzieja, że teraz więcej powietrza znajdzie się w wagonie, albo zaczną padać i kilka kropel przebiję się przez szczeliny. Żaden z tych cudów się jednak nie wydarza. Przyszło mi do głowy, że zmierzamy do Tarnopola. Zauważyłam, że w naszym wagonie jest coraz więcej wolnej przestrzeni. Ludzie umierają, a my siedzimy na ich martwych ciałach. Pozostali są rozwścieczeni i dzicy, szaleni od cierpienia, kłócą się między sobą o wodę.(...) W nocy docieramy do stacji, gdzie pociąg zatrzymuje się na jakiś czas. Słyszymy rozmowę w języku rosyjskim. Zastanawiamy się, co zrobią dalej. Do naszych serc dociera mały promyk nadziei. Może zostaniemy tu, by pracować. Słyszymy wiele dźwięków, takich jak odłączanie wagonów, otwieranie drzwi, rozkazy rozebrania się, lamenty. (...) Pociąg wycofuje się, a w naszym wagonie jest jeszcze około 20 osób żywych. Pamiętam, jak moja mama bardzo słabym głosem prosiła nas o ulżenie w cierpieniu i wybicie małego okienka, które w razie zdemaskowania nie zrobiłoby nam różnicy. Byliśmy i tak skazani na śmierć. Nagle staje się jasno w naszym wagonie i od tej chwili ledwo pamiętam, jak moja mama nalegała, żebym wyskoczyła. Nie waham się wcale, bo jadący pociąg mnie nie przeraża, gdy patrzę na trupy wokół mnie. A potem przypominam sobie dwóch rodaków pochylających się nade mną i nalegających, żebym uciekła, ale jedyne czego chciałam to pić, pić, pić. Rzucam się do pobliskiego stawu i ledwo mogę ugasić pragnienie, które spala mi żołądek. Nalewam garść wody rękami, które przed chwilą w wagonie podnosiły trupy. W niewielkiej odległości ode mnie, zauważam ciało kobiety z naszego wagonu. Na pewno została ona zastrzelona przez Niemców, którzy pełnili wartę na dachu pociągu. Wkrótce zostaje zauważona przez Niemca, który eskortuje mnie do pobliskiego posterunku policji, jednak później trafiam do więzienia w Rawie Ruskiej i zostaje umieszczona w celi nr 12. Był to dzień 28 sierpnia 1942 roku. Piątek. Na szczęście do więzienia trafiam wkrótce po opróżnieniu go z dużego transportu Żydów i dowiaduję się, że w tym transporcie była Zosia Feldman z Czortkowa, córka adwokata Feldmana. Do następnego transportu pozostały jeszcze dwa dni i miały one być decydujące dla mojego losu. Być może ze względu na mój młody wiek, strażnik postanowił pozostawić mnie przy życiu i trzymał w więzieniu przez dziesięć tygodni. Ostatecznie (...) zostałam w sposób legalny skierowana do getta".

Kraków

Relacja Zwi Helmuta Steinitza

"1 czerwca 1942 roku, moje urodziny, nie przyniosły żadnego świętowania, żadnej nadziei, tylko łzy i głęboki ból nieuchronnego rozstania. To był smutny widok, gdy matka i ojciec prawie apatycznie wkładali kilka rzeczy do dwóch toreb, jakby ich los był już im znany. Nie byli to już ludzie, z którymi przeżyłem 15 lat mojego życia; przede mną stały dwie załamane osoby, dla których rzeczy i życie stały się bezwartościowe. Mój brat Rudolf był cichym uczestnikiem tych wydarzeń i musiał być wystarczająco dorosły, aby zrozumieć beznadziejność sytuacji. Został pod opieką rodziców, ale czy to go uspokoiło, nie wiem. Ja sam nie chciałem i nie mogłem jeszcze zaakceptować wiecznej rozłąki.(...) Ich fatalna decyzja o pozostawieniu mnie w getcie uratowała mi życie, (...). Około 48 godzin później moi rodzice i Rudolf byli już martwi. Nie ma języka ani słownictwa, które opisałyby ból i tragedię tamtego dnia. Rodzice musieli być przekonani, że zbliża się ich koniec, zdałem sobie z tego sprawę po pożegnaniu przed wejściem do punktu zbiorczego. (...) Z ciężkim sercem wyruszyliśmy. Rodziny z dziećmi i osoby starsze ciągnęły się po ulicach z nędznym bagażem. Sprawiały wrażenie, że są w drodze na pogrzeb, były głęboko zasmucone i zdesperowane. Dzieci przytulały się płacząc do swoich bezbronnych rodziców. Przy wejściu do punktu zbiorczego i krótko po naszym rozstaniu, ojciec nagle zwrócił się do stojących w pobliżu oficerów SS. Widziałem rozgniewaną twarz ojca, jego płonące spojrzenie i słyszałem jego głośny, drżący głos. Był to głos poważnie pokrzywdzonego, rozczarowanego człowieka, który nie miał nic więcej do stracenia. Z obrzydzeniem i pogardą głos ojca wielokrotnie brzmiał: "Mordercy! - Przestępcy!" Wszyscy obecni stanęli w przerażeniu. Przez kilka sekund panowała martwa cisza. Widziano mężczyznę, który celowo zaryzykował życie, by ujawnić tę straszną prawdę. Oficerowie SS byli zaskoczeni wybuchem wściekłości ojca i w kilka sekund byli gotowi do strzału. Oniemiaли i przestraszeni na śmierć, zastygliśmy w bezruchu. Desperacki ruch ojca był zaskoczeniem, obawialiśmy się najgorszego. Moja matka płakała. Stojący przy wejściu do obozu policjanci żydowscy dostrzegli zbliżające się niebezpieczeństwo i natychmiast popchnęli ojca przez bramę, uniemożliwiając tym samym rzeź. Ojciec zniknął z mojego życia na zawsze. Matka uściskała mnie krótko, wzięła Rudolfa za rękę i poszła za mężem. To było ostatnie wspomnienie moich rodziców i mojego brata. Od razu straciłem ich z oczu. (...) Na jakiś czas zatrzymałem się przed wejściem do obozu zbiorczego i widziałem, jak za bramą znikają kolejni przybysze. Widok tych biednych ludzi, płaczących kobiet i niepocieszonych dzieci, które oczywiście nie mogły zrozumieć, dlaczego musiały opuścić swój dom razem z rodzicami, powinien wstrząsnąć każdą normalną osobą, ale esesmani patrzyli na nieszczęśliwych ludzi zupełnie obojętnym spojrzeniem".

Żółkiew

Listopadowa akcja deportacyjna. Relacja Clary Schwarz Kramer.

„Od pewnego czasu krążyły w mieście pogłoski o planowanej „akcji” – rzezi albo masowej deportacji. [...] Całe miasto o tym mówiło. Pan Patrontasch, który cierpiał na bezsenność, chyba nigdy nie sypiał. Któregoś dnia, 22 listopada, kiedy byliśmy jeszcze u Melmanów, obudził mnie jego krzyk:

- Zbierajcie się! Właśnie widziałem dwie ciężarówki, Gestapo i policję żydowską! Ze Lwowa! Zbliżają się do miasta! Gdy my próbowaliśmy w ogólnym rozgardiaszu oprzytomnieć i włożyć buty, pan Patrontasch znowu wybiegł z domu. Wrócił chwilę później.

- To akcja! Pędzą ich ulicą! Usłyszałam strzały i tupot, i krzyki biegnących gestapowców. Pan Melman wybiegł, żeby ostrzec sąsiadów, Britwitzów. Siedzieli właśnie przy stole i jedli śniadanie. Oni także mieli schron, ale Gestapo już dobijało się do drzwi frontowych. Pan Britwitz zablokował drzwi własnym ciałem, dając rodzinie czas na zejście do schronu, a potem puścił drzwi i wybiegł z domu. Gestpowcy zastrzelili go, kiedy biegł ulicą, ale jego rodzina była bezpieczna. Pan Melman szczęśliwie wydostał się stamtąd i niezauważony przemknął do swojego domu. Nie mieliśmy czasu na to, żeby pobiec do kryjówki w fabryce, dlatego zeszliśmy przez klapę w podłodze sypialni do grobowca pod domem Melmanów. Dusiliśmy się w ciemnościach. Nie mogliśmy zapalić świeczek, które zgromadziliśmy w schronie, bo brakowało tlenu. Kiedy kopaliśmy schron, nie siedziałam w nim bezpiecznie ani przez minutę. Nie byłam przygotowana na przebywanie w tak ograniczonej przestrzeni, na przerażające ciemności ani zapach wilgotnej ziemi, który wdychałam wraz z gęstym powietrzem. W miarę jak bunkier nagrzewał się od ciepła naszych ciał, ubrania przesiąkły potem, aż przywarły do mnie niby druga skóra. Zostaliśmy tam przez dwa dni, bez wiadra na nieczystości, o kilku kromkach chleba i odrobinie wody. Było tak ciasno, że nie mogliśmy się ruszyć. Kiedy na górze zapanował względny spokój, pan Melman i pan Patrontasch wyszli na zewnątrz, żeby zbadać sytuację. Wpełzli do schronu już po paru minutach. Akcja ciągle trwała. W czasie próby ucieczki zabili sąsiada, pana Lockmana. Przesiedzieliśmy w bunkrze kolejną noc. O świcie do domu Melmanów przyszedł młodszy brat pana Patrontascha, Laibek. Wiedział, że ukrywam się w schronie, i poinformował nas szeptem, że już po wszystkim, pociąg odjechał”.

Zamość

Relacja Mosze Franka

"Każdy Żyd stał na placu i trzymał pakuneczek, który sobie wziął z domu. Na tym placu staliśmy do samego wieczora. Dopiero wieczorem gnali nas do wagonów śmierci. Gnali nas z bardzo wielką trwogą, strzelaniną, z płaczem dzieci, matek, z krzykiem, hałasem, po drodze, kto nie mógł iść, kto wyszedł z kolejki, kto odwrócił się do dziecka, do tego strzelano i ginął śmiercią tragiczną. Wreszcie przygnali nas już na rampę, gdzie dla nas stały już wagony i wpychali Żydów do wagonów, i tu przyszła też na mnie kolejka i gestapowiec wpychał mnie do wagonu, ja, nie myśląc długo, zamiast wejść do wagonu wcisnąłem się małą szparką pod wagon i pomału przesunąłem się przez tor kolejowy i położyłem za jakąś blachą i czekałem, aż zagonią wszystkich Żydów do wagonu, bo inaczej Niemcy by mnie zobaczyli i by mnie zabili. Potem się przesunąłem jeszcze dalej, aż do szosy i szosą popędziłem na Nowe Miasto. (...) Szedłem na Nowe Miasto, na ulicy wyglądało tak, jakby po potopie świata".

Relacja Davida Meklera

"11 kwietnia 1942 r. SS, SD i zmontowana policja wpadły jak banda dzikusów na zamojską dzielnicę żydowską. To była kompletna niespodzianka, panikę wywołali w szczególności brutalnie na koniach. Ścigali się po ulicach wykrzykując obelgi, ciskając swoje bicz na wszystkie strony. Nasza społeczność liczyła wówczas 10 000 osób. W mgnieniu oka, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co się działo 3000 mężczyzn, kobiet, dzieci, zabrane przypadkowo z ulic i z domów zostały wywiezione na dworzec i deportowane do nieznanego celu. Spektakl. Wygląd getta po akcji dosłownie doprowadzał do szaleństwa ocalałych. Ciała były wszędzie, na ulicach, podwórkach, w domach, dzieci wyrzucone z 3, 4 piętra leżały zmiażdżone na chodnikach. Sami Żydzi musieli zbierać i grzebać zmarłych".

Tarnów

Relacja Leona Losera

"Nagle ogłoszono obowiązek rejestracji w Arbeitsamcie, gdzie na Arbeitskartach przybijano pieczętki. Jedne stemple ze swastyką nazwali Hoheitsstempel, inne były z literą „K”. Nie wiadano co jest lepsze, ale w powietrzu wisiało coś złego, szeptano o wysiedleniu z Tarnowa, ale nikt nie wiedział nic konkretnego. Rejestracja trwała dwa dni, a każdemu zależało na tym, by mieć pieczętkę i każdy się zgłaszał. Nazajutrz po rejestracji, chodzili Ordnungsdienści z listami gotowymi z nazwiskami ludzi przeznaczonych na wysiedlenie, kazali zapakować co najważniejsze w malutkie zawiniątko, zostawić wszystko i iść za sobą. Zdarzało się, że rodziny rozdzielano, zależnie od stempla jaki kto miał. Tych ludzi zgromadzono w Rynku; kazali wszystkim klęczeć. Było to 10 czerwca 1942 roku. Do wieczora klęczeli, a tymczasem OD sprawdzało całe gromady ludzi. Wieczorem dopiero ustawili wszystkich piątkami i w upał szalony gnali, kobiety z dziećmi na rękach, nieletnie dzieci, starców, gnali jak bydło między kordonami milicji niemieckiej po obu stronach jezdni. Policja biła tych, którzy ustawali w drodze, a kto nie mógł iść, tego rozstrzeliwali. Patrzyłem na to z okno domu, gdzie mieszkałem przy ul. Krokowakiej, którędy szedł tłum na dworzec towarowy. Ciężko było patrzeć na ten gnany i popędzany tłum, zauważyłem między innymi gospodarza naszego domu rzeźnika Dawida Friesa jak szedł z synem i córką. Szedł powoli, nie mógł nadażyć, starzec 72-letni i nagle dostał „nogą” ciężką po głowie. Zdawało się, że upadnie, ale utrzymał się i pobiegł dalej. Syn jego bez nogi o protezie też nie mógł nadażyć, pobito go, ale gdy i to nie pomogło, zastrzelili go na drodze. Leżał o jakie 50 metrów od mego okna po przeciwnej stronie jezdni. Ojciec z córką musieli iść dalej. Tak ten cały korowód szedł na dworzec, gdzie załadowano wszystkich do wozów bydłych, nie pozwalając podać nikomu ani kropli wody. Później dowiedzieliśmy się, że wszystkich powieziono do Bełżca. Nikt jednak nie wiedział czym jest Bełżec, myśleliśmy, że wyjechali na roboty na wschód i każdy prosił swoich przed rozstaniem, by pisali o sobie, gdy będą na miejscu".

Przemyśl

Relacja Renaty Trau

"Mieszkaliśmy we własnym domku, przy ul. Dworskiego w Przemyślu. Gdy Niemcy zajęli w 1941r. Przemyśl ojciec prowadził nadal mały handel towarów mieszanych, mieliśmy na utrzymanie i nie cierpieliśmy żadnych braków. Siostra moja Tosia była starsza ode mnie o 4 lata (urodziła się w roku 1930). Pamiętam, że Niemcy nakazali Żydom nosić opaski. Ojciec przez 3 miesiące nie ubrał opaski, lecz po tym musiał, bo Żydów za nienoszenie opaski strzelano. W r.1942 musieliśmy się wyprowadzić z własnego domu do ghetta i tam miał ojciec jeszcze tylko przez 2 tygodnie sklep towarów mieszanych, gdyż była akcja w ghetcie. My nie dostaliśmy pieczęci na dokumentach i musieliśmy pójść na „wysiedlenie”. Rodzice poszli na punkt zborny, a my odprowadzałyśmy ich. Ja i siostra płakałyśmy i nie chciałyśmy się rozłączyć, lecz ojciec uspakajał nas, że wróci, a wujek, który był komendantem ordnerów [1] odprowadził nas do mieszkania cioci w ghetcie. Ciotka miała prawo pozostać w ghetcie i jako taka musiała przejść kontrolę dokumentów. Po kilku godzinach przyszedł gestapowiec, ciotka pokazała dokument i powiedziała na mnie i na siostrę, że jesteśmy jej dziećmi. Ojciec i mamusia nie wracali i myśmy bardzo płakały. Wreszcie przyszli rodzice z placu zbornego, gdzie tysiące Żydów siedziało w szeregu i nie śmiało się ruszać. Wujek nasz Manek Trau, który był komendantem ordnerów wyratował rodziców w ten sposób, że wyreklamował ojca, jako ślusarza, chociaż tatuś nigdy nim nie był i nie znał się na ślusarstwie".

[1] żydowska służba porządkowa

Kopyczyńce

Relacja Isydora Dienera

"We środę 30 września 1942 r., w jesienny słoneczny poranek miasto otoczone zostało przez jednostki gestapo, żandarmerii i ukraińskiej policji. W akcji brała udział także straż pożarna. Z wraskiem: Juden raus! wyciągano z domów wystraszonych ludzi. Straż pożarna rąbała siekierami podłogi i ściany w poszukiwaniu ukrywających się, zaglądając nawet do kominów. Znalezionych bito, katowano nawet dzieci. Chorzy i ułomni, nie mogący dotrzymać kroku, likwidowani byli na miejscu. Około 50 osób zostało zastrzelonych podczas próby ucieczki. Tylko kilku udało się zbiec. Przed wieczorem popędzono około 1200 Żydów na stację kolejową, gdzie stały już przygotowane wagony towarowe. Policja ukraińska znęcała się nad ofiarami niemiłosiernie. Miejscowego rabina i jego żonę bito bez przerwy. (...) Obładowane tą żywą masą ludzką pociągi ruszyły do Bełżca. Co działo się w tych wagonach, nie mieści się w ludzkiej wyobraźni. Młodemu chłopcu z Chorostkowa udało się podważyć deski w podłodze wagonu i wyskoczyć nocą. Nagi, doszedł do jakiej chaty, gdzie udzielono mu pomocy. W tym samym dniu identyczne akcje odbywały się w Chorostkowie i Probużnej".

Borysław

Relacja Sabiny Haberman-Wolanski

"Przygotowując się do „Akcji” mogliśmy wyczuć w powietrzu coś złowrogiego. Napięcie było namacalne i wszyscy byli zajęci szukaniem miejsca do ukrycia się. Wieczorami na ulice wychodziło tylko gestapo. Gdy 6 sierpnia 1942 r. Rozpoczęła się łapanka, ukrywaliśmy się z matką, obok naszego mieszkania, w składziku, było to coś w rodzaju szopki. Wcisnęliśmy się za ogromny rząd paczek. Mojego ojca i brata nie było z nami. Nie wiem, gdzie byli. Ukraińska policja włamała się do miejsca, w którym ukrywaliśmy się i wyciągnęła nas na ulicę, aby dołączyć do tłumu ludzi, których esesmani pędzili biczami. Psy rzucały się na tych, którzy próbowali uciec. Mocno trzymałam dłoni matki, a mama dodatkowo objęła mnie, chroniąc swoim ramieniem. Zdrętwiałe z przerażenia szłyśmy, aż dotarłyśmy do kina "Grażyna", które służyło hitlerowcom jako punkt zborny. [...] Esesman krzyknął na mnie, żebym wystąpiła na przód. Kurczowo przylgnęłam do ciała matki i desperacko ścisnęłam jej dłoń. Uderzył mnie pałą w tył głowy i odciągnął od niej. Czy moja ukochana mama nie zasługuje na trochę szczęścia? Cierpiała tak wiele przez większość swojego życia, a teraz, kiedy w końcu dorośliśmy i mogliśmy sprawić jej trochę radości, wydarzyła się ta straszna rzecz. Krzyknęła? Nie pamiętam. Nie pamiętam nic z ostatniej chwili, w której byłam z matką, z wyjątkiem ogłuszającego, paraliżującego strachu i niedowierzania. To nie mogło być prawdziwe. To się nie mogło dziać. [...] Przestałam mówić, gdy straciłam matkę. Wpadłam w stan głębokiego szoku. Nie wiedziałam, dokąd poszła[...]. Ból przyszedł później".

Lubycza Królewska

Relacja mieszkanki Lubyczy Królewskiej.

"Niemcy likwidowali Żydów w Lubyczy stopniowo. Na początku zabierali młodych mieszkających w centrum miasteczka taką grupę liczącą 20-30 osób prowadzili pieszo w kierunku Bełżca. Akcje te powtarzali kilka razy. Żydzi pozostali uciekli z centrum do przedmieść Lubyczy, mieszkali między Polakami i Ukraińcami. Pamiętam, że w naszym dużym domu mieszkały trzy rodziny. My z jednej strony, z drugiej mieszkała rodzina żydowska, która miała oddzielne wejście do mieszkania, i na strychu mieszkała jeszcze jedna rodzina żydowska. Pamiętam jedną z takich akcji polegającą na wyszukiwaniu Żydów w Lubyczy. Domy w rynku były opustoszałe. Jak powiedziałam, Żydzi, którzy pozostali w Lubyczy, starali się zamieszkać pomiędzy Polakami i Ukraińcami w uliczkach na przedmieściach. Uważali, że w ten sposób uda im się ukryć przed Niemcami. Kiedy przyjechali Niemcy, chodzili po zamieszkanym domach i wyganiali na zewnątrz Żydów [...] W ten sposób zbierano grupę kilkudziesięciu Żydów, których pieszo prowadzono do Bełżca".